



BRONISŁAW ŁAGOWSKI

POLSKA CHORA
NA ROSJĘ

BRONISŁAW ŁAGOWSKI

POLSKA CHORA NA ROSJĘ

Fundacja Oratio Recta
Warszawa 2016

[Kup książkę](#)

Projekt okładki:
Iza Mierzejewska
Redaktor prowadzący:
Paweł Dybicz
Korekta:
Aleksandra Pańko
Opracowanie graficzne i łamanie:
Anna Rosiak

ISBN 978-83-64407-12-3

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Wydawca:
Fundacja Oratio Recta
ul. Inżynierska 3 lok. 7
03-410 Warszawa
www.tygodnikprzeglad.pl
e-mail: przeglad@tygodnikprzeglad.pl

Druk i oprawa:
Relex s.c., ul. Borsucza 13, 02-213 Warszawa
(22) 824 00 96, e-mail: relex1993@gmail.com

Spis treści

Przedmowa.....	7
Niehamowane emocje.....	11
Żartobliwa polityka zagraniczna	15
Życzenia i fakty	20
Odszkodowania	25
Wielka historia.....	29
Czeczeńskie manowce	33
Sprawa polska i rosyjska	38
Oszołomienie	48
Czeczenofilia	54
Samozatrucie Polski	59
Małe sprostowanie do wielkich błędów.....	64
Precz z Jałtą!	68
Parcie na Wschód.....	73
Papuga chce uczyć.....	77
Zinowiew	83
Po co wiedzieć?	89
Samozatrucie.....	92
Posłuchajcie doradcy waszego Reagana	97
Weto mocarstwowe	101
Ludzie roku.....	105
Odepchnięte dziecięcą nóżką	109
Po wyborach w Rosji.....	115
Krótką pamięć.....	120
Polacy jak z Dostojewskiego	126
Polska racja stanu: być pionkiem w wielkiej grze	132
Krokiem spacerowym w stronę wojny.....	137
Nasz bliski wschód	141
Dlaczego Wanda Wasilewska nas nie chciała	145
Papuga opowiada tragedie.....	151
Jaki to wszystko miało sens?	155
Klamra Zdrojewskiego	160

Co nas wzmacnia – wróg czy przyjaciel?	165
Bitwa pod Iwieńcem.....	171
Jak dogodzić nieprzyjaciołom.....	176
Wybory w Rosji	181
Zmiany na Wschodzie?	185
To nie utopia	190
Drugie obalanie Janukowicza.....	194
Na Wschodzie zmiany	198
Przepraszam, zdenerwowałem się.....	201
Zawrót głowy od sukcesów	205
Gorączka ukraińska.....	209
Sewastopol i Wilno.....	214
Wrogie podziały.....	217
Putin czy Chodorkowski	221
Po co nam to?	226
Głos umiarkowanego pacyfisty.....	230
Cząstki elementarne.....	233
Przypis do aktualnego tematu.....	237
Piąta kolumna i makkartyzm.....	240
Pełzanie do wojny	243
Polonobanderyzm	247
Bazomania	251
Gruba niewdzięczność.....	255
Co oni zamyślają?	259
Potrzeba relatywizmu.....	265
Okupacja pamięci.....	269
Spojrzenie na Wschód	274
Leninowska rusofobia i jej dzisiejsze skutki	281

Aneks

Andrzej Walicki

Rosja Putina a polityka polska.....	289
Polityka nieprzyjaznych gestów.....	304
Do wojny potrzeba dwóch stron	316
(Nie)Przemyślana wypowiedź	333

Przedmowa

(MOTTO)

Przyznam się, że mam wstręt do oskarżania Niemców i Moskali.

Roman Dmowski

Przeważające w Polsce poglądy na Rosję zawierają dużo nieprawdy, są kontrproduktywne z punktu widzenia realnych polskich interesów, a ich treść emocjonalna jest mało-dusza. Odstępuję tu od poglądów, które sam przez większą część życia wyznawałem, mając je za oczywiste. Pod koniec lat 70. napisałem monografię historyczną przenikniętą nastrojem antyrosyjskim i z licznymi aluzjami do współczesności. Przeczytał ją liberalny historyk z Moskwy, nie powiedział nic krytycznego, ale zauważyłem, że lektura sprawiła mu przykrość. Z kolei mnie stało się przykro, bo polubiłem tego historyka. Nie był to powód do zmiany stanowiska, ale trzeba było się zastanowić nad sobą, dlaczego mam takie, a nie inne przekonania i skąd one się wzięły, bo „główny nurt” opinii nigdy przez czas dłuższy mnie nie przekonywał. Książka miała powodzenie, zaliczono ją do tak zwanych książek zbójeckich, ale propozycji wznowienia jej w latach 90. nie przyjąłem.

Rosja nie bardzo mnie pasjonuje; przejmuję się Polską i obawiam się, że wskutek błędnych wyobrażeń o narodach, z którymi sąsiadujemy, możemy jako państwo stoczyć się w niebezpieczną sytuację. Prawdę mówiąc, ona już jest niepokojąca. Dlaczego się o tym nie dyskutuje? Konformizm przy-musza do mówienia jednym głosem. I nie tylko konformizm.

Trzeba rozróżnić politykę antyrosyjską i rusofobię. Ta pierwsza może zawierać element racjonalnej kalkulacji, trafnej lub błędnej, zależnie od poziomu umysłowego rządzących, fobia natomiast jako irracjonalne uprzedzenie, pełne lęków i ślepej wrogości, utrudnia dostosowanie polityki do zmiennych warunków zewnętrznych i wewnętrznych. Wrogość do Rosji nasila się od dłuższego czasu i nic nie wskazuje na to, że może przyjść umiarkowanie. Przeciwnie, może nastąpić jeszcze większe nieumiarkowanie, chociaż trudno to sobie wyobrazić. Sprawa Krymu nie wstrząsnęła polskimi politykami, dała tylko wysoko cenioną przez nich okazję do wmieszania się w konflikt zbrojny, o którym nikt nie wie, jak, kiedy i na czyją szkodę się zakończy. Korzyść może przynieść tylko Stanom Zjednoczonym i już słyszę ripostę: i właśnie o to chodzi. Ale i tego nie można być całkowicie pewnym.

Rusofobia nie jest wyosobnionym stanem świadomości; występuje w połączeniu z inną fobią: totalnym potępieniem przez obóz solidarnościowy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i uczynieniem z tego głównego artykułu wiary patriotycznej. Pod hasłami nacjonalistycznymi i w imię rzekomego odzyskiwania pamięci wykreowano ułudę, jakoby Polska w wyniku wojny znalazła się pod drugą okupacją. Na straży tej ułudy i tej fobii stoi specjalny urząd, będący oczkiem w głowie władzy postsolidarnościowej. „Armia Czerwona nie wyzwoliła, tylko podbiła Polskę – uważa IPN” („Rzeczpospolita”, 15 października 2015). Słowa przeciwko słowom. Winston Churchill, przemawiając w Izbie Gmin w 1945 r., powiedział: „Gdyby nie nadzwyczajne wyczyny i ofiary Rosji, Polska byłaby skazana na całkowitą zagładę z rąk niemieckich. Nie tylko Polska jako państwo, ale Polacy jako naród by-

li skazani przez Hitlera na zagładę albo sprowadzeni do stanu niewolników... Podobno trzy i pół miliona polskich Żydów zostało wymordowanych. Jest rzeczą pewną, że olbrzymia ilość zginęła na skutek najokrutniejszych czynów, możliwe, że najbardziej wstrząsających aktów okrucieństwa, które rzucają ponury cień na dzieje człowieczeństwa na Ziemi. Kiedy Niemcy wyraźnie zapowiedzieli swój zamiar uczynienia z Polaków poddanych niższej rasy pod władzą Herrenvolku, nagle wspaniałym wyczynem siły i wiedzy militarnej wojska rosyjskie w niewiele więcej niż w trzy tygodnie posunęły się znad Wisły do Odry, pędząc Niemców kompletnie rozbitych i uwalniając całą Polskę od potwornych okrucieństw i uciemiężenia, pod którym Polska wiła się w bólach”.

Jedną trzecią terytorium państwa polskiego stanowią ziemie podbite przez Armię Radziecką i przekazane Polsce. Stalin nie musiał dokonywać tej darowizny, zwłaszcza że mocarstwa zachodnie starały się go w tym powstrzymać. Życzyły one sobie w sposób platoniczny Polski demokratycznej, ale bez Wrocławia i Szczecina. Stalin obdzielił nas rosyjskimi zdobyczami wojennymi niebezinteresownie, to oczywiste. W zamian wymógł ustanowienie władzy gwarantującej radzieckie interesy. Z gry politycznej od razu wykluczone zostały rząd emigracyjny i podlegająca mu Armia Krajowa. Polska Ludowa nie urodziła się pod znakiem zgody narodowej. Wyłącznie na sprawowanie władzy otrzymała radykalna lewica z komunistami jako siłą kierowniczą. Zbrojne starcia, terror i kontrterror nie rozwinęły się w pełną wojnę domową wskutek miazdzącej przewagi strony czynnie popieranej przez Związek Radziecki. Według dzisiejszej wersji historii najważniejsze rzeczy dzia-

ły się w lasach, na posterunkach milicji i w urzędach bezpieczeństwa. W rzeczywistości większa część ludności była zajęta odbudową kraju i urządzaniem sobie elementarnych warunków do życia, dla niej lepsi byli ci, co dawali nadzieję na zaprowadzenie porządku, stabilizacji i utrwalenie odzyskanego państwa. Gdyby to mógł zrobić rząd londyński, byłby powitany z entuzjazmem. Ale nie mógł i nikt by mu Wrocławia i Szczecina nie dał. Polacy za Bugiem pozostali by na starym miejscu.

Nienawiść przegranych i upokorzonych przetrwała pół wieku, wreszcie dostarczyła wzorów uczuciowych i symboli walki nowym warstwom, odczuwającym swoją sytuację jako zniewolenie. W obecnych swoich przejawach nienawistne uczucia dochodzą do granic psychologicznej wytrzymałości. Strona komunistyczna zbyt długo i przesadnie manifestowała pychę zwycięzców, teraz czyni to strona antykomunistyczna. Powojenny konflikt został mitologicznie – z elementami realności – ekshumowany i cudownie przywrócony do życia. Polska klasa polityczna nie przyjmuje do wiadomości, że Rosja nie jest już komunistyczna i nam nie zagraża. Nie zauważa też, że istnieje pewien problem z ziemiami zdobytymi. Nie jest to problem polityczny, lecz kulturalny: Polacy nie doprowadzili jeszcze kultury i ucywilizowania form życia codziennego do poziomu, jaki tam istniał przed dwiema wojnami. Czy znowu Rosja przeszkadza?

•

Zamieszczone w Aneksie teksty Andrzeja Walickiego są integralną częścią książki.

Bronisław Łagowski

Niehamowane emocje

Autorzy apelu skromnie zaadresowanego: „Do Rządu Rosyjskiego. Do elity umysłowej Rosji, do wszystkich Rosjan. Do światowej opinii publicznej” ostrzegają rząd moskiewski, że „gotując apokalipsę Czeczenom, pozbawia swój kraj sympatii, którą zyskała Rosja, wszedłszy na drogi demokracji”. Dużo tu powiedziano nieprawdy. Rosja nigdy nie cieszyła się na świecie taką sympatią i podziwem, jak w okresie, gdy panował tam komunizm. Za kierowniczą siłę obozu antyfaszystowskiego była uznawana podczas masowego terroru, „czystek” i głodu. Stalin na swoje 70. urodziny otrzymał osiem wagonów podarunków od samych tylko dzieci francuskich. Niektóre z tych szczodrych dzieci zaczęły pisać swoje czarne księgi komunizmu, gdy Rosja weszła na drogi demokracji. W Polsce sondaże opinii publicznej wykazały, że odsetek respondentów wrogo nastawionych do Rosji zwiększył się po upadku Związku Radzieckiego. Sympatie i antypatie do rzeczy dalekich nie mają wiele wspólnego ani z demokracją, ani z brakiem demokracji, ani z rzeczywistością. Rosja nie w tym celu się demokratyzowała, aby zyskać sympatię Polaków, i nie zyskała jej. Niezależnie od tego, co robi w Czeczenii, czy gdzie indziej, nie będzie miała wiele do stracenia w polskiej opinii publicznej. Oceniamy fakty, jak chcemy, nikt nam wolności opiniowania o wszystkim według naszej woli nie odbierze. Nikt nam też nie zabroni nazywania tego, co Rosjanie robią w Czeczenii, apokalipsą.

Pociski wystrzeliwane w złej sprawie (w Czeczenii) działają tak samo jak wystrzeliwane w dobrej sprawie (w Serbii), to znaczy zbaczają z toru, trafiają w pomyłkowo wyznaczone obiekty, a jeśli osiągają właściwe cele, to tym dokładniej zabijają ludzi i powodują inne „szkody uboczne”. A więc tylko istoty bez serca mogą obojętnie przyjmować wiadomość, że gdzieś toczy się wojna. Przypominam sobie, że już sam zwykły przemarsz wojska przez wieś i miasteczka pozostawiał za sobą płacz i zgrzytanie zębów. W porównaniu z tym wojna w Czeczenii jest niewątpliwie apokalipsą. Ale to nie jest właściwe porównanie. Trzeba pamiętać, jak przebiegają konflikty w republikach poradzieckich, w Tadżykistanie na przykład, i jak wyglądał pokój w samej Czeczenii. To nie Rosjanie „gotują apokalipsę Czeczenom”. Zgotowali ją tej krainie czeczeńscy heroiczni niepodległościowcy, którym Jelcyn dał w swoim czasie wolną rękę i pozwolił wyposażać ich w najnowocześniejszą broń z magazynów armii rosyjskiej.

Co się rzuca w oczy obecnie, to usiłowania Rosjan utrzymania tej wojny w mniej więcej cywilizowanych formach i granicach. Bestialstwo jako metodę widzimy po stronie Czeczenów, a nie Rosjan. Rosyjscy generałowie próbują naśladować pewne elementy strategii NATO z Kosowa i przynajmniej tyle osiągają, że rekruci nie są posyłani na pewną śmierć jak w poprzedniej wojnie. Ideał humanitarny podczas wojny może być na razie osiągalny tylko w tej postaci, iż oszczędza się swoje wojsko, swoich ludzi. Co Amerykanom udało się w pełni w Serbii, dla Rosjan pozostaje niedościgłym ideałem, ale już to, że wzór amerykański ich pociąga, oznacza pewien postęp.

Zastanawiam się, jaka jest funkcja bombastycznego apełu „do światowej opinii publicznej” (świat może wybierać wśród setek tysięcy nie mniej wiarygodnych mentorów) oraz „do wszystkich Rosjan”. Którym poza tym programowo i może w niejednym przypadku słusznie się nie ufa. Tłumaczę to sobie tak: w Polsce panuje „zoologiczna” antyrosyjskość, ciągle, nawiasem mówiąc, na prawicy utożsamiana z antykomunizmem. Do jednych ta antyrosyjskość przylega tym lepiej, im bardziej jest zoologiczna, inni jednak wiedzą, że uleganie jej jest upokarzające. I szukają jakiegoś języka, który by uwznioślił ich emocje. Jedni przy byle okazji wybijają szyby w konsulatach, drudzy piszą apele do całej ludzkości. Nie lekceważę tego, co te postawy różni, wydaje mi się jednak, że to, co je łączy, jest ważniejsze. Nie jestem rusofilem, przeciwnie, widzę, jak zostałem uzależniony od tradycji antyrosyjskiej, ale nudzi mnie cała problematyka rosyjska w polskim ujęciu. Raz wydaje się, że mamy obiektywnych analityków polityki rosyjskiej, ale wystarczy, że Rosjanie urządzają jakąś marudną strzelaninę gdzieś na azjatyckich czy kaukaskich rubieżach, a już po obiektywnych analizach śladu nie ma, wszyscy łączą się w oburzeniu, które uważają za święte i godne wystawienia na pokaz „światowej opinii publicznej”. Czy to takie trudne, w obliczu niebezpiecznego sąsiada zachować oziębłość emocjonalną i jednocześnie dyskretnie działać na rzecz powiększenia własnej siły? Dla Polaków to jest bardzo trudne.

Premier Buzek oświadczył, że polska młodzież powinna organizować regularne wyjazdy do Katynia, biorąc sobie wzór z „marszu żywych” w Oświęcimiu. Zostały też zapowiedziane obchody 60. rocznicy zbrodni katyńskiej. Ta ry-

tualizacja wrogości do Rosji należy do następstw zdemokratyzowania i zliberalizowania się tego kraju. Nie mówię, że jest skutkiem – jest następstwem.

Jerzy Giedroyc jest szanowany, czczony, odznaczany i słusznie uznawany za autorytet polityczny, zwłaszcza gdy chodzi o politykę wschodnią. I oto co premier Buzek zrozumiał z jego nauk: trzeba edukować polską młodzież w nienawiści do Rosji tam, na miejscu, w Katyniu. Niezależnie od tego, czego dowie się ona o Rosji, czy wychowana tak martyrologicznie nie stanie się najsmutniejszą młodzieżą w Europie?

Przegląd, 20.12.1999 r.

Żartobliwa polityka zagraniczna

Nasz rząd będzie uczył Ukraińców, jak należy zreformować Ukrainę. Polska przywiązuje kolosalną wagę do przyłączenia Ukrainy do Unii Europejskiej. Gdy nasze nauki dadzą owoce w Kijowie, będziemy mieli z kogo brać przykład, bo sami z siebie jakoś nie umiemy przygotować się do owej Unii. Uczyl Marcin Marcina. W każdym razie, po dziesięciu latach upajania się niepodległością Ukrainy i powtarzania sobie, jak byłoby to pięknie wejść z tym krajem w bliskie związki, przyciągnąć go do Europy i raz na zawsze odrusyfikować, rząd uderzył w czynów stal. Zdobył się na wiekopomne w swoim mniemaniu postanowienie: „Rzadko się zdarza, by rząd na swoim posiedzeniu poświęcił debatę sprawie stosunków bilateralnych z jakimś krajem. Świadczy to o unikalnym miejscu Ukrainy w naszej polityce zagranicznej i polityce rządu”, miał zapewnić wiceminister MSZ. Rząd ma podjąć uchwałę o powołaniu międzyresortowego zespołu itp. Warszawa najchętniej powtarzałaby w nieskończoność scenę, jak to Polska jako pierwsza uznaje niepodległość Ukrainy. Gdyby tę scenę odegrać tysiąc razy, może jacyś Ukraińcy by ją w końcu zauważyli. Nie jest to, na szczęście, technicznie możliwe. Wymyślili więc coś równie pustego: wspieranie ukraińskich reform, międzyresortowy zespół, debata, unikalne posiedzenia rządu itp. Jak się nie ma niczego do zaoferowania w sferze realiów, to jest się skazanym na politykę gestykulacyjną. Wszystko to, co polski rząd może w sprawie Ukrainy uchwalić, zarządzić, a nawet zrobić, w porównaniu ze splotem determinizmów, jakim pod-

lega Ukraina, ma ciężar piórka, które wymknęło się z poduszki. Gdyby to rząd amerykański na swoim posiedzeniu postanowił włączyć Ukrainę do zachodniego układu, można by temu zamiarowi przypisać duże prawdopodobieństwo powodzenia. Jak polski rząd umie reformować, wie o tym dobrze każdy chory. Czyżby również chorzy Ukraińcy musieli się o tym przekonać?

Polska w ciągu wieków, zaczynając od króla Władysława IV, robiła od czasu do czasu jakieś próby zjednania sobie Ukrainy, przyciągnięcia jej na swoją stronę. Nigdy nic z tego nie wychodziło. Partie proukraińskie zawsze były dezawuowane przez bieg wydarzeń, na które Polska nie miała żadnego wpływu i których pewnie nie rozumiała. Obecnie Polacy nie biorą pod uwagę faktu, który rzuca się w oczy każdemu, kto się przygląda i słucha, zamiast „myśleć”: Ukraina jest prozachodnia, do takiego stopnia prozachodnia, że Polskę postrzega jako jałową przestrzeń, którą trzeba niecierpliwie przebyć w drodze do Zachodu. Przyjmować jakieś nauki reformatorskie od Polaków? Nie, tego Ukraińcy nie mogą brać poważnie. Jeśli się uczyć, to od Niemców albo Amerykanów; mogą bez poniżenia przyjąć ich zwierzchnictwo, jakąś formę protektoratu i wedle mojego rozeznania Ukraina mogłaby wejść trwale do zachodnich sojuszy, gdyby to amerykański, a nie polski rząd uznał Ukrainę „unikalnym miejscem w swojej polityce” i wydał na nią kilkadziesiąt czy kilkaset miliardów dolarów. Polski polityk w Kijowie to zaledwie listonosz przynoszący od potentata telegram z dobrą wiadomością. Ale czy za tą wiadomością przyjdą realia, o tym w Kijowie mogą sobie tylko spekulować. Zastrzeżenie jest tu niezbędne: Ukraina to nie jest jedno. Nie jest to kraj tak jed-

norodny jak Polska, istnieje kilka Ukrain, a wśród nich także prorosyjska (co nie znaczy antyzachodnia). Chętnie bym posłuchał, co mądrzy ludzie mówią, choćby w trybie spekulacji i przypuszczeń, na temat zwiększającej się przewagi języka rosyjskiego nad ukraińskim.

Polska polityka, a raczej propagando-dyplomacja wobec Ukrainy opiera się na oczywistości, którą sformułował już Maurycy Mochnacki 170 lat temu: złamać imperium rosyjskie można tylko poprzez odjęcie Moskwie Ukrainy. (I przyłączenie jej do Polski – wówczas to było pragnienie poniekąd naturalne). Nie mogę się zdecydować: czy banały stanowią solidne oparcie dla polityki, czy przeciwnie, niebezpieczne koleiny myślowe, ograniczające swobodę rozumowania. Tak czy owak, wielka miłość sfer rządzących do Ukrainy jest funkcją nienawiści do Rosji. Dlatego sprawy ukraińskie są traktowane tak ogólnikowo, powierzchownie i z takim uproszczeniem, jakby chodziło o abstrakcję, a nie realny kraj. Zarówno w tej miłości, jak i tej nienawiści jest coś nieautentycznego, są one zakorzenione w intensywnych emocjonalnie stereotypach, a nie w empirycznym rozeznaniu rzeczywistości.

Polityka polskiego rządu wobec Rosji ma coś urwisowskiego: jest złośliwa, ale nie wyrządza szkody. Niczego nie bierze poważnie, ani siebie, ani przeciwnika. Rosja odwołała swojego ambasadora? Gdyby odwołała z Berlina, Paryża czy Londynu, byłoby to wydarzenie mobilizujące tamte rządy do nadzwyczajnych starań, publicystów – do wszechstronnych analiz. Ambasador odwołany z Warszawy – dobra nasza, po co nam ambasador rosyjski w Warszawie? Minister spraw zagranicznych odwołał wizytę w Polsce? A myśmy

wcale nie planowali przyjazdu rosyjskiego ministra. I czyje na wierzchu? Chuligani napadają na konsulat, ale policja nie interweniuje, bo prawdopodobnie nie wie, czy napadanie na konsulat rosyjski jest zabronione. A może deptanie flagi było happeningiem zaaranżowanym na użytek telewizji? Telewizja tak widocznie myślała, sądząc po tym, jak często tę scenę emitowała. Prowodyr napaści już następnego dnia wystąpił jako samozwańczy, mam nadzieję, rzecznik policji, której bezczynność usprawiedliwiał. Po tym wszystkim w oficjalnych oświadczeniach polskich trudno było nie doszukiwać się nut ironicznych.

Największy idiotyzm (a było w czym wybierać), jaki wyszedł ze sfer eksperckich, bliskich rządowi, brzmiał tak: „Bazując na nastrojach antypolskich, Putin realizuje swoją kampanię prezydencką. Polska była od zawsze pewnym zagrożeniem wojskowym dla Rosji. Nikt inny tylko Polacy zdobyli Ławrę w Zagorsku... Były powstania narodowe polskie, uważane przez większość Rosjan za bunty przeciwko legalnej i świętej władzy. Dalej Piłsudski... Potem Solidarność... A na koniec Polska przystąpiła do NATO, zdradzając w ten sposób rasę słowiańską. Bardzo dobry straszak, jeden z najlepszych, jakie Rosjanie mogą sobie wyobrazić”. W Rosji nie panują nastroje antypolskie, na których Putin mógłby bazować. Rosjanie obecnie, podobnie jak w czasach ZSRR, mało się Polakami interesują i nie mają do nas utrwalonego stosunku, nie istnieje tu żadna symetria emocji. Oczywiście można tam wzbudzić nastroje antypolskie, ale na tym, co trzeba dopiero zrobić, nie można bazować w kampanii wyborczej. W Rosji tradycja i pamięć historyczna zostały przezwane, a nigdy nie były silne i już Czaadajew pisał, że „nasza

przeszłość ginie z każdym dniem dzisiejszym”, toteż sięganie do czasów dymitriady i powstań jest pustą werbalistyką. Zresztą ani powstanie kościuszkowskie, ani listopadowe nie wywołały w Rosji powszechnych nastrojów antypolskich, pojawiły się one jako skutek głupiego powstania styczniowego, nie były jednak na tyle silne czy trwałe, aby przeszkodzić Polakom w Rosji w zajęciu wysokiej pozycji społecznej. Solidarność również nie była przyjęta tak, jak mówi ekspert. Na podstawie własnych obserwacji mogę potwierdzić tezę socjologów, że Solidarność spotkała się z pozytywnym zainteresowaniem Rosjan i obudziła w szerokich kręgach nadzieję na zmiany również u nich. Rosja boi się NATO, ale nie boi się Polski w tym sojuszu, ponieważ – o czym ekspertowi powinno być wiadomo – parasol atomowy NATO nie rozpościera się nad Polską.

Polscy eksperci na dobrą sprawę niczego nie muszą się o Rosji dowiadywać, a jeśli czegoś nie wiedzą, to też wiedzą: fakty niezgodne z tym, co oni wiedzą, są dziełem rosyjskich służb specjalnych.

Przegląd, 6.03.2000 r.

Życzenia i fakty

Sukcesy dyplomatyczne Rosji w stosunkach z państwami zachodnimi nie robią żadnego wrażenia na polskim rządzie. Również media lekceważą ten fakt. W polskich umysłach zagnieździło się przekonanie, że między Rosją a Zachodem istnieje naturalna wrogość, a jeśli rządy zachodnie swoim postępowaniem zdają się temu przeczyć, to dlatego, że są zaślepione. Nie przyjmuje się do wiadomości tak znaczących faktów historycznych jak ten, że Rosja, biała czy czerwona, carska czy radziecka, nie prowadziła nigdy wojny z państwami zachodnimi inaczej niż w koalicji z innymi państwami zachodnimi. Miewała raz z jednymi, raz z drugimi konflikty, ale nigdy jej na Zachodzie nie brakowało sojuszników. Dlaczego miałoby być inaczej teraz, gdy w Rosji mamy tak silny przypływ fali okcydentalizmu – amerykańizmu i europeizmu – jakiego prawdopodobnie nigdy jeszcze nie było. Nawet Sołżenicyn swoją filozofię polityczną wyprowadza z zachodniego konserwatyzmu, a nie z rosyjskiego nacjonalizmu, o co się go posądza. Sołżenicyn zresztą jest odsunięty od władzy i wpływów, ponieważ w Moskwie i w Petersburgu wymagana jest prozachodniość ostentacyjna, a nie tylko uznawanie pryncypiów zachodniej tradycji. Druki o treści rosyjsko-szowinistycznej nie robią żadnego wrażenia na tych warstwach i kręgach społecznych, które decydują – rozmyślnie lub tylko siłą rzeczy – o przyszłości Rosji.

Rząd polski składa od czasu do czasu werbalne deklaracje chęci polepszenia stosunków z Rosją, ale są to słowa bez ciężaru politycznego, zdawkowe, konwencjonalne i nieszcze-

re. Trudno o to winić rząd, również niesolidarnościowy minister spraw zagranicznych byłby skrępowany antyrosyjską ksenofobią, panującą w polskiej klasie politycznej, mediach i dużej części społeczeństwa. Co gorsza, nawet te kręgi intelektualne, którym nie można odmówić znajomości Rosji, jej kultury i historii oraz zdolności do czynienia porównań z Europą, przyjmują pojęcia i stereotypy może użyteczne w walce propagandowej, ale utrudniające lub uniemożliwiające rozpoznanie rzeczywistości. Na przykład: ludzie skądinąd inteligentni do znudzenia powtarzają, i to przed polską publicznością, która nic w tej sprawie nie może, że Rosjanom trzeba wyperswadować chęć odbudowania imperium. Trzeba ich poinformować – mówią – że wielkość terytorium nie jest już w naszych czasach źródłem siły i bogactwa, wprost przeciwnie, obciąża państwo jałowymi kosztami. Patrzcie na Anglię i Francję – mówią – jak im się poprawiło od czasu, gdy zrezygnowały ze swoich imperiów kolonialnych. Algieria była i ciężarem, i raną dla Francji, z czego powinniście wyciągnąć wniosek, że niepodległość Ukrainy jest dla was korzystna. (Analogia między francuską Algierią a Ukrainą wśród polskich znawców, lub raczej nauczycieli Rosji, uchodzi za zupełnie uprawnioną, a nawet oczywistą).

Z upadku imperiów kolonialnych Rosjanie mogą wyprowadzić zupełnie inne wnioski, niż im chcą przekazać polscy nieproszeni doradcy: Francuzi szczęśliwie wywikłali się z wojny w Algierii, ale żyją w strachu, że może czeka ich wojna z Algierczykami i ich współwyznawcami w samej Francji. Poza tym skutki upadku imperiów kolonialnych nie okazały się tak zbawienne dla dawnych kolonii, jak się spodziewano. Mam poza tym wątpliwość, czy imperium rosyjskie było

kolonialne w takim sensie jak Anglia, Holandia czy Hiszpania. Wszystko to są kwestie sporne i dyskusyjne, wróćmy do tego, co pewne: Polacy, czy to wzięci jako społeczeństwo, czy państwo, nie mają żadnej możliwości przekonania Rosjan, że powinni oni zrezygnować z imperium. Skąd się bierze ten naiwny postulat, dlaczego jest powtarzany przez osoby, które uznajemy za autorytety w sprawach polityki wschodniej? Celem polskiej polityki, czytam w poważnym dzienniku, powinno być „zmuszenie Rosji do wypracowania nowej, nieimperialnej tożsamości...”. Ależ panie ekspercie, jest to zadanie ponad siły nie tylko lekceważonej, lub raczej branej taką, jaką w stosunkach międzynarodowych jest, Polski, ale także ponad siły Niemiec, Francji i Anglii, czyli całej Europy, a to z tego powodu, że o powstaniu, trwaniu lub upadku imperiów nie decydują ani pragnienia sąsiadów, ani świadome zamysły rządów państw, które stają się imperiami. W grę wchodzi wiele przyczyn, a wola narodu lub rządu rosyjskiego może być tylko jedną z nich. Mówienie Rosjanom: dajcie sobie spokój z imperium, ma tyle mocy sprawczej, ile miało głoszenie w II Rzeczypospolitej programu mocarstwowej Polski od morza do morza. Rosja może się bardzo skurczyć pod względem terytorialnym, ale nawet na tym mniejszym terytorium trudno byłoby jej nie mieć struktury imperialnej, a to z tego powodu, że jest zamieszкана przez wiele grup etnicznych, pretendujących do tożsamości narodowej i już posiadających, dzięki nieodpowiedzialności Jelcyna, wiele atrybutów niepodległości. Według użytecznej typologii istnieją dwa typy państwa: État-nation, państwo narodowe, i imperium, dawniej z reguły monarchiczne, więc cesarstwo, a dziś może być republikańskie

i demokratyczne. W obecnych warunkach Rosja jako państwo narodowe jest mrzonką. Jest więc skazana na strukturę imperialną (co nie znaczy, że potrzebuje w swoich granicach Litwinów czy Ukraińców). Żeby zaistniała możliwość wyboru między tymi dwiema formami państwowości, muszą przedtem zajść odpowiednie przeobrażenia na poziomie narodowościowym, etnicznym w Rosji. W polszczyźnie upowszechniło się wyrażenie bardzo dobrze wyrażające naszą mentalność – „trzymać kciuki” za coś. Polska w sprawach rosyjskich może tylko trzymać kciuki, ale nie wiadomo, co będzie dla nas lepsze: rosyjskie państwo narodowe, nacjonalistyczne jak Ukraina, czy wielonarodowościowe, republikańskie imperium, którego obywatele, oprócz tożsamości narodowościowej, mieliby rosyjską tożsamość państwowo-narodową.

Obecna Rosja pod pewnymi względami wydaje się krajem rządzonym, a raczej urządzonym, przez króla Ubu. Obląkana prywatyzacja, w wyniku której wielkie, najbardziej dochodowe przedsiębiorstwa, całe gałęzie przemysłu znalazły się w prywatnych rękach spekulantów, niejednokrotnie spod ciemnej gwiazdy, te „suwerenności” nadane dziesiątkom jednostek administracyjnych itp., itd. Ale to nie nasza sprawa. Przez 300 lat Rosja górowała nad nami i używała swojej przewagi do poniżania i uciskania Polski. Teraz uzyskaliśmy historyczną satysfakcję i możemy sycić się widokiem poniżenia naszego byłego wroga. Ale jak długo będziemy potrzebowali takiej satysfakcji? Wydaje mi się, że już przekroczyliśmy termin, w jakim to było zrozumiałe i dopuszczalne, antyrosyjska ksenofobia zaczyna nas poniżać – jeśli jeszcze nie w naszych własnych oczach, to już

w oczach zachodnich sąsiadów. Wcale nie o to chodzi, żeby „przebaczać i prosić o przebaczenie”, takie postawienie zagadnienia odbieram z niesmakiem. Poza tym jest ono niepraktyczne, ponieważ Rosjanom trudno byłoby skupić uwagę na Polakach. Obecnie nie wrogość do nas, której zresztą nie dostrzegam, jest niebezpieczna, lecz właśnie to patrzenie i niewidzenie nas, tak jak się patrzy na rzecz istniejącą, lecz bez znaczenia. Nikomu, ani nam, ani im, nie jest potrzebne żadne irracjonalne „przebaczenie”, które w stosunkach międzynarodowych jest fikcją pozorującą jakiś gest moralny. Nam jest potrzebna zdolność stwierdzania faktów: trzeba umieć, na przykład, przyjąć do wiadomości, że w Czeczenii nie jedna strona strzela i zabija, lecz czynią to dwie strony, że Grozny został zburzony nie tylko przez Rosję, lecz również przez Czeczenów, że Czeczenia uzyskała tyle niepodległości, ile zażyczył sobie Dudajew, że władzę przejęli tam w końcu bandyci, ciągnący dochód z porywania ludzi, że to Czeczeni byli agresorami i oni urządzali czystki etniczne wobec Rosjan, a nie Rosjanie wobec nich. (Możemy chcieć sięgnąć do historii i tam oczywiście znajdziemy dowody na wszystko, co nam przyjdzie do głowy). Wreszcie trzeba uznać oczywisty fakt, że Czeczenia nie ma warunków do bycia państwem niepodległym, i odpowiednio do tego faktu zmienić swój stosunek do wojny w Czeczenii.

Fakty, fakty; pokazując najrzeczywistsze fakty, można wprowadzać w błąd i ogłupiać społeczeństwo, jak robił to telewizyjny reporter, który podczas wyborów w Rosji wybrał się za koło podbiegunowe, aby pokazać, że te wybory nie mają żadnego znaczenia.

Przegląd, 25.06.2000 r.

Odszkodowania

Polacy mają o historii stosunków z Rosją wyobrażenia uproszczone aż do karykatury. Mówię nie tylko o nas, zwykłych ofiarach szkolnych stereotypów, ale także o ekspertach z różnych instytutów „rosjoznawczych”. Nie chodzi mi o błędne interpretacje, lecz o nieprzyjmowanie do wiadomości upartych faktów, zaprzeczających patriotycznym komunałom.

Gdy – sięgam do historii – nie udał się eksperyment z liberalnym, konstytucyjnym i parlamentarnym Królestwem Polskim, Polacy stali się ofiarami carskiego ucisku w większym stopniu niż Rosjanie. Mimo to tak zwane ziemie zabrane, Litwa, Białoruś, Wołyń, w dalszym ciągu ulegały polonizacji i w połowie XIX w. były pod względem kultury i języka bardziej polskie niż sto lat wcześniej. Polacy stanowili jedną trzecią ogółu studentów uniwersytetu w Petersburgu, na uniwersytecie w Kijowie, do czasu wprowadzenia *numerus clausus* w roku 1861, było ich ponad 50%. Te wskaźniki dużo mówią. Arogancja polskiej szlachty połączona z jej politycznym analfabetyzmem przyczyniła się do insurekcji 1863 r., od której zaczyna się systematyczna depolonizacja tych ziem. A jednak polski stan posiadania, że tak to nazwę, jeszcze w roku 1914 jest imponujący. Dopiero demokratyczna i liberalna rewolucja z lutego 1917 r. zapowiada koniec polskości „ziem zabranych”. To, co Zofia Kossak-Szczucka nazwała „pożogą” i świetnie opisała, wtedy się zaczęło. Jeszcze bolszewicy nie zdobyli władzy, jeszcze Kiereński udaje, że rządzi, a polskie ziemiaństwo i polska inteligencja na Kresach o niczym tak nie

marzą, jak o powrocie porządków przedrewolucyjnych. Koniec wieńczy dzieło i tu mamy właściwy punkt obserwacyjny dla zobaczenia caratu we właściwym świetle. Gdyby rewolucja demokratyczna w Rosji zwyciężyła wcześniej, wcześniej skończyłaby się polska historia na tamtych ziemiach. Carat był antycypowaną kontrrewolucją, to tłumaczy po części jego cechy opresyjne. I jako taki właśnie chronił polskie ziemianstwo na Litwie, Białorusi, Wołyniu przed zemstą ludu.

Stosunek do Rosji w ostatnim czasie o tyle się zmienił, że już nie uchodzi (albo się nie kalkuluje) obnosić się z rusofobią. Nie jest to jednak zmiana na tyle wyraźna, aby ją zauważyli Rosjanie. Polska jest krajem tranzytowym tylko fizycznie. Nie potrafi w najmniejszym stopniu być podmiotem pośredniczącym między Rosją a Europą Zachodnią. Polscy eksperci doradzający poprzednim rządom gorzej pojmują to, co się w Rosji dzieje, i mniej o tym wiedzą niż eksperci zachodni. Antyrosyjskie „zaprogramowanie kulturowe” (pojęcie wprowadzone bodajże przez prof. Lazarięgo) ciągle działa. Aleksander Hercen mówił o polskiej rozmyślnej ignorancji w sprawach Rosji. Ona nadal się utrzymuje. Wszystko to sprawia, że nie Polska jest pośrednikiem, lecz Bruksela, a zwłaszcza Berlin pośredniczą między Polską i Rosją. Gdyby nie przykład, zachęta i nacisk (przynajmniej psychologiczny) na polskich polityków ze strony krajów Unii, nie doszłoby do zbliżenia polsko-rosyjskiego i opamiętania się postsolidarnościowej „klasy politycznej”. Nie przypadkiem Putin przyleciał do Warszawy z Paryża. Tylko oparcie się o wpływowe kręgi unijne pozwoli obecnemu rządowi polskiemu wywikłać się z rusofobią podyktowanego kontraktu gazowego z Norwegią.

Polacy uważają za oczywiście słuszne rewindykowanie od państwa rosyjskiego odszkodowań za pracę przymusową w łagrach radzieckich. Trudno będzie polskie racje uzasadnić przed mieszkańcami Rosji, gdzie poszkodowanych przez system łagrowy jest tylu, że państwo może im wypłacić jedynie symboliczne lub prawie symboliczne odszkodowania. Jeśli odszkodowania dla Polaków będą tej samej wysokości, co dla Rosjan, stanie się to u nas nowym czynnikiem jątrzącym, podniętą dla wrogości. Prezydent Putin, który złożył znane obietnice, może i w tej sprawie potrafi dokonać więcej, niż tak zwana znajomość życia pozwalałaby się spodziewać, jak już nieraz potrafił w innych sprawach. A jeśli nie potrafi? Czy mamy z zaspokojenia roszczeń odszkodowawczych czynić warunek pojednania polsko-rosyjskiego? Czy istnieją jakieś oczywiste reguły sprawiedliwości odnoszące się do wyrównywania krzywd w stosunkach międzynarodowych? W Polsce się o tym nie wątpi: Niemcy dają wzór takiej sprawiedliwości. Niczego innego nie domagamy się od Rosji, jak tylko tego, co zrobiły Niemcy. Czyżby? Pomija się w myśleniu fakt rozstrzygający: Niemcy już pół wieku płacą różnym grupom poszkodowanych najrozmaitsze odszkodowania nie dlatego, że zobowiązuje je abstrakcyjna zasada sprawiedliwości, lecz dlatego, że muszą. A muszą dlatego, że przegrały wojnę. I że istnieje mocarstwo, Stany Zjednoczone mianowicie (popierane przez pozostałych aliantów z czasów wojny), które roszczenia potrafi wyegzekwować. Niech sobie polski rząd nie przypisuje zasługi, że nasi robotnicy przymusowi uzyskali odszkodowania. Bez zaangażowania się amerykańskiego rządu w pertraktacje z Niemcami ani Żydzi, ani Polacy tych odszkodowań by nie otrzymali. Przedstawicielom strony polskiej w tych per-

traktacjach okazywano lekceważenie, wyraźnie dawano do zrozumienia, że nie o nich chodzi. Żądania obywateli amerykańskich były zgłoszone w formie wniosku wynikającego z zasady ogólnej i dzięki temu odszkodowania mogły objąć także Polaków. Czy nasi obywatele mieli takie samo prawo do odszkodowań jak amerykańscy Żydzi, to problem do długiej i trudnej dyskusji. Można eksperymentować w wyobraźni: czy gdyby Żydzi obecnie amerykańscy otrzymali w wyniku wojny Śląsk, Pomorze i Mazury – mieliby takie samo prawo do odszkodowań od Niemców, jakie mają dziś? Churchill był przeciwny daniu Polsce Śląska i Pomorza, bo „polska gęś” – mówił – tego nie strawi. Strawiła i ciągle ma apetyt na nowe odszkodowania.

Do jakiego stopnia autorytety polskiej opinii publicznej mają pomieszczone w głowie, świadczy to, jak one zniekształciły, przekręciły i doprowadziły do absurdu cały problem. Powiązali mianowicie ci nieszczęśni ludzie żądanie odszkodowań od Rosji z problemem, czy nazizm i komunizm były jednakowo złe, czy może jeden był lepszy od drugiego i która okupacja: niemiecka czy radziecka, bardziej nas uciemiężała.

Jeśli chcemy otrzymać od Rosji odszkodowania na takich prawach, na jakich otrzymujemy od Niemiec, to musimy założyć, że Rosja także przegrała wojnę, co na razie nie zostało udowodnione. Polacy nie zdają sobie sprawy, że nie leży w interesie Polski taka rewizja historii, która zacierałaby różnicę między tymi, którzy wojnę wygrali, i tymi, którzy ją przegrali. Różne odszkodowania otrzymywaliśmy jako współuczestnicy zwycięskiej koalicji, a nie z jakiegokolwiek innego powodu.

Przegląd, 28.01.2002 r.

Wielka historia

W ostatnim numerze czasopisma „Arcana” znajduję interesujący artykuł Aleksego Millera, rosyjskiego historyka i politologa młodego pokolenia (przynajmniej był młody, gdy poznałem go kilkanaście lat temu), na temat polityki Zachodu wobec Rosji i jej bezpośrednich europejskich sąsiadów. Artykuł został napisany przed zwrotem, jakiego w tej polityce dokonał prezydent Bush, ale wnioski końcowe autora są teraz słuszniejsze, niż mogły się wydawać przedtem.

W związku z rozszerzaniem się Unii Europejskiej, uważa autor, Rosjanie i ich sąsiedzi z byłego ZSRR odnotowują z wiadomo jakimi uczuciami, że zmniejsza się liczba krajów europejskich, do których mogą dostać się bez wizy. Taka przemiana wydaje się nienaturalna, idzie pod prąd procesów uniwersalnych i zawodzi oczekiwania Rosjan, jakie się u nich ożywiły po upadku komunizmu. Dziś Unia Europejska jest tak skonstruowana, że nie może ona objąć ani Rosji, ani Ukrainy (jakieś szanse miałyby jedynie Białoruś), może więc trzeba – pisze Aleksy Miller – aby powstały „jakieś nowe, paneuropejskie struktury, które zjednoczą UE i (całą) Europę Wschodnią?”. Dalej powołuje się na to, o czym w Polsce trochę się wie i trochę się nie wie, że prozachodnia orientacja obecnych władz rosyjskich „znajduje... poparcie zdecydowanej większości mieszkańców (według badań socjologicznych większe dziś w Rosji niż na Ukrainie)”. Trzeba być fantastą, aby w dobrej wierze stawiać Rosji wymaganie natychmiastowej „europeizacji” jej polityki wewnętrznej, ale nie można nie dostrzegać,

że Rosja reformuje się i tworzy swoje strategie we wszystkich dziedzinach „nie przez opozycję wobec Europy, lecz dążąc do zbliżenia z nią”. W ostatnich zdaniach swego artykułu Aleksy Miller dopowiada: „aby wyobrazić sobie Europę Wschodnią na nowo, trzeba wyobrazić sobie na nowo całą Europę. Czy będzie ona podzielona granicą, zawierającą w sobie cechy żelaznej kurtyny i kordonu przeciw nielegalnej emigracji na Rio Grande? Jeżeli powstanie taka nowa, projektująca na zewnątrz niestabilność linia głębokiego podziału, to jej przyczyny będą dalekie od rzekomo nieprzezwyciężalnych barier cywilizacyjnych, które opisał Samuel Huntington. Będą rezultatem działań współczesnych polityków – żadnej konieczności historycznej tu nie ma”. Kiedy indziej sądziłbym, że autor daje się ponieść politycznemu woluntaryzmowi i dobremu chciejstwu, ale po tych niebywale sensacyjnych przemianach, jakie zaszły w ciągu ostatnich kilkunastu lat i nadal zachodzą, wydaje mi się, że projekt Europy „od Atlantyku do Uralu” jest nie tylko realny, ale narzuca się jako żywotny interes zarówno Zachodu, jak Rosji. Wielki obszar do Uralu (i za Uralem też) potrzebuje zachodnich kapitałów, bez których nie uda się uczynić wielkich zasobów surowcowych, energetycznych, jakie się w nim mieszczą. Obszar ten potrzebuje także uporządkowania politycznego, w czym pomoc Zachodu również będzie konieczna. Czy Rosjanie ją przyjmą lub nie, zależy od sposobu, w jaki będzie przyniesiona. Istnieje w polityce składnik prawie metafizyczny, który nazywa się legitymizmem. Od Gorbaczowa zaczynając, kolejni przywódcy Rosji legitymizowali się nie tylko u siebie za pomocą procedur ludowładczych jak wybory powszechne, ale także poprzez

zdobywanie uznania Zachodu, w szczególności Ameryki. (O rozwiązaniu ZSRR Gorbaczow dowiedział się po przywódcach zachodnich, a jego pierwsze pytanie brzmiało, czy prezydent Stanów Zjednoczonych na to się zgadza).

W czasie rozpadania się komunizmu wspomniany Samuel Huntington wyraził zaniepokojenie, czy będzie można porozumieć się z nową Rosją. Panujący dotychczas marksizm był ideologią zachodnią – twierdził – i dobrze ją rozumieliśmy. Z prawosławnymi nacjonalistami porozumienie może być dużo trudniejsze. Okazało się, że nie jest ono nawet potrzebne, ponieważ prawosławie i nacjonalizm należą tylko do dziedziny kultury, która w stosunku do cywilizacji stanowi dziś zjawisko mało znaczące. Czynnikiem niezmiernie ułatwiającym zbliżenie Rosji ze Stanami Zjednoczonymi jest podobieństwo między liberalnymi oligarchiami obu krajów. I nie tylko oligarchiami. Aleksy Miller łatwiej osiągnie zgodę w dyskusji z Amerykaninem niż z Polakiem podobnego fachu i statusu. Polacy słuchają chętnie tylko takich Rosjan jak Siergiej Kowaliow, wcielających dziś XIX-wieczny wzór inteligenta, bezkompromisowego wroga wszelkiej realnej władzy.

Unia Europejska w swoim obecnym kształcie ustrojowym nie jest zdolna do odegrania wobec Rosji znaczniejszej roli. Została skonstruowana w ten sposób, aby chronić socjalne i polityczne *status quo*. Gęsta siatka biurokratycznych regulacji, asekuracji, gwarancji, redystrybucji itd., itp. uniemożliwia ekspansję na większą skalę. Nie ma mowy o UE od Atlantyku do Uralu, już rozszerzenie do Bugu i Niemna powoduje ból głowy rządów i przestroch u dużej części ludności. Opieka socjalna rozszerzona na wszystkich przy-

byszów z dowolnej części świata przyciąga nie tylko ludzi chcących pracować, lecz także miliony szukających płatnego bezrobocia (i znajdujących je). Zmusza to Unię do ogradzania się szczelnymi granicami, co zresztą jest daremne, bo jeśli nie uwolni się od socjalnego szaleństwa, te mury runą. W tych warunkach tylko Stany Zjednoczone, ta – jak pisał Norwid – najbardziej europejska Europa, mogą zintegrować Rosję z Zachodem. W Polsce mówi się, że Rosję zbyt- nio się uprzywilejowuje, że przesadnie wynagradza się jej przysługi w walce z terroryzmem itp. Podobne zresztą opi- nie dochodzą z niektórych kręgów moskiewskiej intelligen- cji, traktujących Rosję jak państwo wrogie i modlących się do zmitologizowanego Zachodu (który znowu zdradził pra- wa człowieka...).

Przegląd, 10.06.2002 r.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki

www.tygodnikprzeglad.pl

**HISTORIA
W „PRZEGLĄDZIE”
jest dla tych, którzy
lubią czytać i wiedzą,
że nic nie jest
wyłącznie
czarne albo białe**

ZAPRENUMERUJ

WEJDŹ NA STRONĘ www.sklep.przeglad-tygodnik.pl



Tygodnik „Przegląd”
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
tel.: +48 (22) 635 84 10
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu
tel./faks: +48 (22) 635 84 10 w. 119
lub tel.: +48 (22) 635 84 10 w. 120
kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

[Kup książkę](#)